

# JEŻYNOWY LiS

Tajemnica Krańca Świata

Kathrin Tordasi

# JEŻYNOWY Lis

Tajemnica Krańca Świata

Przełożyła: Emilia Skowrońska

**KROPKA**

## O autorce

Kathrin Tordasi studiowała w Walii. Natychmiast zakochała się w tym kraju i jego mieszkańcach. Bardzo chciała napisać historię, która rozgrywałaby się w tej pełnej legend krainie. Otoczona zapachami wilgotnego mchu, scones i mocnej herbaty z mlekiem napisała swoją debiutancką powieść – *Jeżynowy lis. Tajemnica Krańca Świata*.

Kiedy Kathrin Tordasi nie wędruje po Wielkiej Brytanii, mieszka w Berlinie.

*Dla babci Eriki i dziadka Wolfganga*

ORIGINALLY PUBLISHED AS *Brombeerfuchs – Das Geheimnis von Weltende*

BY Kathrin Tordasi

ILLUSTRATED BY Max Meinzold

© 2020 Fischer Sauerländer GmbH, Frankfurt am Main

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Emilia Skowrońska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

Wydawnictwo Kropka, Warszawa 2026



## Prolog

Dawno temu ludzie i elfy swobodnie przechodzili z jednego świata do drugiego. Królestwa śmiertelnych i nieśmiertelnych leżały tak blisko siebie, jakby były dwoma brzegami tej samej rzeki. Pomiedzy nimi rozciągał się jedynie pusty pas ziemi. Nikt się nie zastanawiał nad tą granicą. A jednak była ona strzeżona – i pewnego wieczoru obudził się ktoś, kto spał od stu lat.

Czerwone jesienne liście spadały z drzew, gdy Szary Król podniósł się ze swego łoża. Wszedł na ziemię niczyją, a wraz z nim pojawiła się mgła. Każdy, kto dostał się w jej objęcia, znikał bez śladu albo przemieniał się w mgielnego wędrowca, pozbawionego wspomnień o dawnym życiu. Od tej chwili podróżnicy między światami musieli drzeć o swoje życie.

Ale to nie był koniec. Szary Król wysłał swoje wojsko do krain ludzi i elfów. Błazi jeźdźcy przynosili mgłę, a jeziora, pola i wsie znikwały w szarym morzu. W końcu ludzie i elfy sprzymierzyli się, by odepchnąć Szarego Króla i jego armię z powrotem na ziemię niczyją.

Elfy sprawiły, że król pogrążył się w głębokim śnie, lecz nikt nie wiedział, jak długo zaklęcie będzie działać. Wyczerpani walką ludzie i elfy podjęli trudną decyzję: postanowili rozdzielić swoje światy i zabezpieczyć granicę. Szary Król

miał już nigdy nie opuścić ziemi niczyjej. I tak też się stało. Ludzie zwrócili się do swoich druidów, a ci mądrzy mężczyźni i kobiety użyli starożytnej runicznej magii, by zamknąć wszystkie przejścia. Od tego dnia droga do Krainy Elfów została zablokowana. Tylko garstka wybranych posiadała klucze do innego świata. Tych, którzy je mieli, obowiązywała jedna zasada: jeśli otworzą drzwi między światami, muszą je za sobą zamknąć. Mijały stulecia, a historia Szarego Króla popadła w zapomnienie.

Kiedy jeden z kluczy trafił w nasze ręce, nikt już nie pamiętał dawnych praw ani samego Szarego Króla. Nieświadomie przekroczyliśmy granicę Królestwa Elfów i przez jakiś czas wiedliśmy beztrudne życie.

Zostawialiśmy za sobą otwarte drzwi. Nikt nam nie powiedział, że powinniśmy je zamykać. Kiedy Szary Król powrócił, nikt nie rozpoznał znaków. Nikt nie podniósł alarmu. A gdy tamtego poranka mgła wypłynęła z lasu niczym sztormowa fala, było już za późno.

Olivia Stephen, *Opowieści z innego świata* (1965)



## Wakacje w Walii

Portia

Miasteczko Conwy wtulało się w wybrzeże jak rogalik w marmoladę. Domy starego miasta wznosiły się nad błękitną zatoką, a cień zamku kładł się na wąskie uliczki. Na blankach powiewała walijska flaga – czerwony smok na zielono-białym tle.

U stóp zamku, jakieś pięćdziesiąt metrów od murów obronnych, znajdowała się stacja kolejowa. Miała dokładnie dwa tory i tak wąski peron, że dwoje dorosłych ledwie mogło się na nim minąć. Za budynkiem dworca rozciągał się parking – pusty, podobnie jak sam peron. W koszach na śmieci grzebała tylko jedna brązowa mewa szukająca sobie obiadu.

Portia Beale stała obok parkingu i wpatrywała się w kartkę w swej dłoni. Na kawałku papieru w kratkę jej mama zapisała adres i numer telefonu ciotek.

– To na wszelki wypadek – powiedziała. – One cię odbiorą, więc raczej nie będziesz musiała dzwonić.

*No cóż, mamo, pomyślała Portia. Pomyliłaś się.*

Wyjęła telefon z kieszeni, starając się zignorować ścisk w gardle. Nie było powodu do paniki. Przejechała sama pociągami całą drogę z Londynu do Walii, nie powinna więc bać się jednego telefonu. Mama ją ostrzegła, że ciotki są trochę roztrzepane. Może po prostu zapomniały, że to właśnie dziś przyjeżdża ich wakacyjny gość.

Portia wpisała pierwsze trzy cyfry numeru, gdy na parking z piskiem opon wjechał samochód. Hamulce zapiszczały, rura wydechowa strzeliła i auto zatrzymało się w poprzek, tuż przed nią. Drzwi kierowcy otworzyły się z impetem i z pojazdu wysiadła krępa kobieta z krótkim siwym warkoczem. Portia wciąż trzymała telefon w dłoni, gdy kobieta w wielkich zielonych kaloszach ruszyła w jej stronę.

– Cholera jasna – powiedziała na powitanie. – Myślałam, że zdążę.

I właśnie tak wyglądało pierwsze spotkanie Portii z ciotką Jeżyną.

Portia miała spędzić te wakacje z mamą w Andaluzji. Ale tydzień przed wyjazdem mama odwołała podróż.

Dziewczynka była rozczarowana, choć ta sytuacja wcale jej nie zaskoczyła. Od miesiąca mama kiepsko się czuła. Oznaki tego, że z wakacji nic nie będzie, piętrzyły się niczym burzowe chmury na horyzoncie.

Trzy dni temu Gwendolyn Beale musiała w końcu przyznać przed sobą i przed córką, że ich wyjazd do Andaluzji nie dojdzie do skutku. Zamiast tego Portia miała spędzić dwa tygodnie u krewnych w północnej Walii. Jeżyna i Róża były ciotkami Gwendolyn, miały domek na wsi i – jak zapewniała mama – nie mogły się doczekać wizyty dziewczynki.

Tak przynajmniej twierdziła Gwendolyn. Teraz jednak, gdy Portia zobaczyła Jeżynę na własne oczy, nie była już tego taka pewna.

– Gdzie ten mój przeklęty zegarek? – Głos Jeżyny był ostry jak cierń.

Kobieta zaczęła gorączkowo przeszukiwać wszystkie kieszenie kurtki i spodni. Portia nie miała pojęcia, w jaki sposób powinna się przywitać, więc odruchowo wyciągnęła rękę.

– Dzień dobry, jestem Portia.

Poczuła się głupio już w chwili, w której to powiedziała. Ale wtedy Jeżyna na chwilę zamarła. Przyjrzała się dziewczynce od stóp do głów, po czym uśmiechnęła się i uściśnęła jej dłoń.

– Wiem, dziewczyno. Chociaż odkąd cię widziałam ostatni raz, nieźle wyrosłaś.

Z kieszeni spodni wyciągnęła podniszczony zegarek.

– To jak, ruszamy?

Nie czekając na odpowiedź, chwyciła walizkę.

Portia poprawiła plecak i ruszyła za ciotką w stronę wgniecionego szarego Nissana.

– Ten pociąg zawsze się spóźnia – mruknęła Jeżyna. – A dziś akurat przyjechał punktualnie. Długo czekałaś?

– Nie – odpowiedziała Portia, ale Jeżyna jakby wcale jej nie słuchała.

Ciotka otworzyła bagażnik, zaklęła pod nosem i odsunęła na bok worek kory, żeby zrobić miejsce na walizkę.

– Wsiadaj już – powiedziała. – Róża czeka z herbatą, a jeśli nie przywozę cię na czas, znowu zrobi to coś z brwiami.

– Co takiego? – zapytała dziewczynka, otwierając drzwi po stronie pasażera.

Jeżyna prychnęła.

– Sama zobaczysz.

Bagażnik zatrzasnął się z hukiem, a zanim Portia zdążyła się zorientować, już były w drodze.

Nissan trząsał się i klekotał tak mocno, że Portia bała się, iż ta zardzewiała puszka za chwilę się rozleci. Jeżyna zdawała się jednak zupełnie tego nie zauważać. Pędziła wąskimi uliczkami z prędkością, która z pewnością nie miała nic wspólnego z miejscowymi przepisami ruchu drogowego. Dziewczynka ścisnęła plecak na swoich kolanach i z niepokojem obserwowała, jak za oknem przemykają kamienne domy.

Chciała poprosić Jeżynę, by ta zwolniła, ale nie miała odwagi. W okularach w kształcie półksiężyców przypominała dyrektorkę szkoły Portii, choć niedbały, siwiejący warkocz nie pasował do wizerunku surowej nauczycielki. Jej strój był praktyczny – bluzka w kwiaty, sprany zielony kardigan i wyblakłe dżinsy, do tego kalosze. Dziewczynka zastanawiała się, co takiego robiła Jeżyna, zanim przyjechała po nią na dworzec.

– Kiedy ostatni raz cię widziałyśmy, miałaś trzy lata – powiedziała ciotka i przecięła rondo, nawet nie zwalniając.

Zwisający z lusterka wstecznego mały krasnal ogrodowy miotał się bezradnie na wszystkie strony.

– Pewnie tego nie pamiętasz, co?

– Nie – potwierdziła Portia.

Krasnalowi z pewnością robiło się niedobrze.

– Nic dziwnego – stwierdziła Jeżyna, przelatując nad progiem zwalniającym. – Pamiętam tylko, że lubiłaś chować różne rzeczy. – Roześmiała się. – Raz włożyłaś buty Róży do piekarnika. Szukała ich potem chyba z godzinę.

– Eee... przepraszam? – powiedziała dziewczynka, kompletnie zaskoczona tą opowieścią.

– Daj spokój. – Jeżyna machnęła ręką. – Ja znalazłam twoją kryjówkę już po dziesięciu minutach, ale nie pisałam słówka, bo obserwowanie Róży było takie zabawne! Jak chcesz, możemy to powtórzyć. A może jesteś już na to za dorosła?


Portia uśmiechnęła się pod nosem.

– Chyba tak.

– Szkoda – mruknęła Jeżyna. – Może posłuchamy muzyki?

Podkręciła radio. Z głośników rozbrzmiało *Waterloo* ABBY i Jeżyna natychmiast zaczęła nucić. Portia zerknęła na nią i zauważyła, że okulary zsunęły jej się na czubek nosa. Właściwie to wcale nie wyglądała jak nauczycielka. Przypominała bardziej archeolożkę, która odkrywa dawne skarby i bada piramidy. *Brakuje jej tylko kapelusza z szerokim rondem*, pomyślała Portia. Jakby czytając jej w myślach, ciotka porozumiewawczo puściła do niej oko. Może jednak nie była aż tak kłująca, jak dziewczynka się obawiała.





## Nocny złodziej

Portia

Droga z Conwy w głąb łądu prowadziła wzdłuż granic Parku Narodowego Eryri. Znajdowały się tam najwyższe góry Walii, najpiękniejsze jeziora i najliczniejsze stada owiec. Tak przynajmniej mówiła mama Portii. Rzeka Conwy wiła się niczym niebieska wstążka wśród zielonych łąk i rzeczywiście trudno było znaleźć skrawek trawy, którego nie skubałyby jakieś owce.

Po dwudziestu minutach Jeżyna skierowała Nissana do miejscowości zwanej Trefriw. Portia bezskutecznie próbowała wymówić tę nazwę.

– Tre-wri! – powiedziała Jeżyna. – Jeśli to wydaje ci się trudne, poczekaj, aż zabierzemy cię do Llanfairpwllgwyngyllgogerychwyrndrobwlllantysiliogogoch.

– Słucham?! – Portia aż się zakrztusiła własną śliną.

Jeżyna albo powtórzyła nazwę, albo po prostu naśladowała syk czajnika.

– To miejscowość o najdłuższej nazwie na świecie – wyjaśniła. – W tłumaczeniu jest to mniej więcej: Kościół świętej Marii w dolinie białych leszczyn, w pobliżu rwącego wiru i kościoła świętego Tysilio przy czerwonej jaskini. Walijszczy bardzo poważnie podchodzą do nazw swoich miejscowości.

– A ty nie pochodzisz z Walii? – zapytała Portia.

Jeżyna pokręciła głową.

– Przyjechałam z Manchesteru. Ale nikomu o tym nie mów.

Zatrąbiła głośno i pomachała do idącego poboczem mężczyzny.

– Już niedaleko – obiecała, spojrzała na zegarek i jeszcze mocniej wcisnęła pedał gazu.

Nissan wyjechał z miasteczka i popędził przez most z łupkowego kamienia, a potem obok dzikich łąk. W końcu pokonały niewielki zagajnik. Po obu stronach drogi piętrzyły się powykręcane dęby, a gdy samochód znów wypadł z lasu, Portii zaparło dech w piersiach. Przed nimi rozciągał się oszałamiający krajobraz. Po prawej stronie leżała dolina rzeczna z ciemnozielonymi wierzbami, a w oddali, na końcu drogi, wznosiły się strome wzgórza porośnięte coraz to gęstszymi lasami. Na horyzoncie morze drzew przechodziło w pasmo nagich, surowych szczytów.

– Wow! – wyrwało się dziewczynce.

Jeżyna się uśmiechnęła.

– Pięknie tu, jednak mieszkamy na uboczu – powiedziała. – Ale nie martw się. Na moim rowerze w mgnieniu oka podjedziesz do miasteczka. A do Llanrwst też niedaleko.

– Szlan... – próbowała powtórzyć Portia.

– Chlan-rust – poprawiła ją Jeżyna. – Jest tam małe kino, antykwariat i parę innych fajnych miejsc. Nie musisz więc spędzać całego czasu tylko z nami dwiema, starymi jędzami. Aha, o wilku mowa...

Dziewczynka spojrzała przez przednią szybę. Na końcu drogi wyłonił się sad, a za nim dom z szarego kamienia.

– Nie ma jak w domu! – oznajmiła Jeżyna i zaparkowała samochód pod jabłonią.

Ciotka rzuciła okiem na zegarek, po czym wysiadła. Portia poszła w jej ślady, wpatrując się w dom swoich ciotek. Nie tak go sobie wyobrażała – był o wiele bardziej baśniowy! Z zimową werandą i hamakiem rozwieszonym między dwoma drzewami. Ciotki miały rękę do roślin, bo wokół domu i na parapetach kwitły piękne kwiaty. Po ścianie pięła się różowa róża, a fioletowe kwiaty powojnika zwisały z zadaszego ganku niczym wodospad. Gdyby z ogrodu nagle wyskoczył Piotruś Królik, dziewczynka nawet by się nie zdziwiła.

– Boisz się psów? – zapytała Jeżyna, gdy wyciągała walizkę z bagażnika.

– Nie, a co...? – odpowiedziała Portia.

Nie dokończyła nawet zdania, gdy z ogrodu wypadła czarno-biała kula armatnia.

– Marlowe! – zawołała ostro Jeżyna, ale zwierzę już zdążyło skoczyć na dziewczynkę, radośnie dysząc.

Pies stanął jej na stopach, oparł bok o jej kolana i merdał ogonem, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Portia przykucnęła i podrapała go między uszami. Po tym, jak oparł pysk na jej udzie, widać było, że bardzo mu się to podoba.

Jeżyna pokręciła głową.

– Świetny z ciebie pies stróżujący, nie ma co.

– Przyjaźń od pierwszego wejrzenia – rozbrzmiał nowy głos.

Portia odwróciła się i spojrzała na kobietę w wieku Jeżyny. To musiała być Róża.

Dziewczynka wytarła dłonie o džinsy i wstała. W przeciwieństwie do Jeżyny Róża miała krótkie, elegancko pofalowane włosy, ale też nosiła okulary. W czerwonej bluzce i spódnicy w maki wyglądała bardzo schludnie. Kobieta wytarła dłonie w kuchenną ścierekę i się uśmiechnęła. Portia próbowała jeszcze trochę strzepać ręce, ale Róża dała jej znać, by się tym nie przejmowała. Uśmiechnęła się i położyła dłonie na jej ramionach.

– Portio, kochanie – powiedziała. – Ależ wyrosłaś! Nie widziałyśmy się całe wieki. Ile miałaś lat, gdy odwiedziłyśmy cię ostatnim razem? Dwa?

– Trzy – poprawiła ją Jeżyna. – I tak, w ciągu dziewięciu lat dziewczynki zazwyczaj trochę rosną.

– Spóźniłaś się – zwróciła się Róża do swojej przyjaciółki.

– Na drodze był duży ruch – odparła Jeżyna.

– Duży ruch? – Prawa brew Róży się uniosła.

Jeżyna rzuciła Portii wymowne spojrzenie.

*Aha*, pomyślała dziewczynka. *To jest numer z brwią.*

– Ogromny ruch – potwierdziła Jeżyna bez mrugnięcia okiem. – A to wszystko przez nową sygnalizację w Tal-y-Cafn. Nie mam pojęcia, po co w ogóle ją tam ustawili. – Złapała walizkę Portii i ruszyła w stronę furtki. Marlowe przemknął obok niej do domu. – Poza tym musiałam przecież jechać ostrożnie – dodała. – Gdy ma się na pokładzie młodą pasażerkę, nie wypada pędzić.

W tym momencie twarz dziewczynki płonęła tak bardzo, że mogłaby konkurować z każdym pomidorem. Portia jeszcze nigdy nie słyszała, żeby ktoś tak gładko kłamał.

– Och tak, jesteś wspaniałym wzorem do naśladowania dla ludzi w każdym wieku – oświadczyła Róża oschle.

Ciotka przerzuciła sobie ścierkę przez ramię i wyciągnęła dłoń do dziewczynki. Ta ze zdziwieniem przyglądała się tatuazowi na jej nadgarstku – rzędowi niebieskich kresek wzdłuż i w poprzek, przypominających ślady ptasich stóp.

– Chodź, kochanie – powiedziała Róża. – Pomożesz mi nakryć do stołu.

Na kafelku nad dzwonkiem widniała nazwa domu, wypisana zaokrąglonymi literami: *Afallon*. Portia przekroczyła próg i stanęła jak wryta.

W holu panował rozgardiasz: zobaczyła wieszak, kosz pełen parasoli i sięgającego jej do kolan słonia z brązu. Na starym stoliku telefonicznym stał wazon z liliami i hortensjami, a za nim wisiało lustro w połączanej ramie.

Portii skojarzyło się to z muzeum, z tą różnicą, że w domu ciotek pachniało świeżym ciastem. Pociągnęła nosem. *Wanilia*, pomyślała. *I cytryna*. Powoli ruszyła korytarzem. Po obu stronach czekały otwarte drzwi.

Czy są tu jakieś tajne przejścia? Ukryte drzwi za wielkimi obrazami olejnymi? Serce Portii zaczęło bić szybciej. Najchętniej natychmiast pobiegłaby zbadać każdy pokój. Odwróciła się i spojrzała po ścianach w górę, na sufit. Ciemne drewniane schody z rzeźbioną balustradą prowadziły na piętro.

– No i jak ci się podoba? – Róża stała z założonymi rękami, oparta o futrynę. – Wytrzymasz u nas te kilka tygodni?

– Oczywiście! – wyrwało się Portii. – Dziękuję, że mogłam tu przyjechać.

– Nie ma za co, bardzo się cieszymy z twojego przybycia. – Róża podniosła głos. – A herbata czeka na ciebie już od godziny.

– Nie możesz się powstrzymać, prawda? – mruknęła Jeżyna. Przecisnęła się obok przyjaciółki i zaniósła walizkę Portii na górę.

– Twój pokój jest na piętrze – wyjaśniła Róża. – Ale najpierw zjedzmy kawałek ciasta.

– Brzmi świetnie – odparła natychmiast dziewczynka. Ciocia się roześmiała.

– Wiedziałam, że to powiesz. – Wskazała drzwi po prawej. – Tam jest salon. Idź pierwsza, ja przyniosę herbatę z kuchni.

Z lekkim dreszczykiem emocji Portia odstawiła plecak i przeszła przez wskazane jej drzwi.

– Cudownie – wyszeptwała.

Salon ciotek wyglądał jak nora w korzeniu drzewa. Dębowe belki podtrzymywały nisko zawieszony sufit, ściany pomalowano na jasnozielony kolor. Podłogę zdobiły drewniane deski i rdzawoczerwone perskie dywany. Przed kominkiem stały trzy uszaki. Najlepsze jednak były książki – przy każdej ścianie ustawiono regały. Przez otwarte przeszklone drzwi widać było ogród zimowy i nawet tam, na leżance między donicami i bujnymi roślinami pnącymi, piętrzyły się grube tomiska.

Portia była tak oczarowana liczbą książek, że z początku nie zwróciła uwagi na nic więcej. Dopiero gdy stanęła pośrodku pokoju, spostrzegła, że nie jest sama.

Na progu między salonem a ogrodem zimowym siedział lis. Patrzył wprost na nią, a jego futro w świetle popołudniowego słońca mieniło się miedzianym blaskiem. Portia wstrzymała



oddech, ale lis nie uciekł. Obserwował ją czujnie złotymi oczami. Postawił uszy. Wpatrywała się w niego zafascynowana – aż usłyszała za sobą ciche skomlenie. Odwróciła się. Marlowe kulił się w drzwiach do salonu ze spuszczonej niskim głosem.

Ten przerażony pies zdecydowanie nie był psem myśliwskim. Lis za to w najmniejszym stopniu nie sprawiał wrażenia przestraszonego. Przeciwnie – przyglądał się Marlowe'owi z pobłażliwym spokojem, a dziewczynce zdawało się nawet, że dostrzega na jego pysku złośliwy uśmiech. Choć to przecież niemożliwe.

– Marlowe, stary druhu – rozległ się głos Jeżyny z korytarza. – Znowu żebrzesz? – Sekundę później stanęła w progu i dostrzegła lisa. – Ty! – huknęła, a na dźwięk jej głosu zwierzak drgnął. Ciotka zacisnęła pięści i wpadła do pokoju. – Nie wierzę! Wynocha mi stąd! – Lis skulił się, zawahał, po czym pomknął w stronę drzwi.

Jeżyna pognęła za nim aż do otwartych drzwi prowadzących z ogrodu zimowego na zewnątrz.

– I lepiej mi tu nie wracaj, bo przerobię cię na rękawiczki! – zawołała. – No, ja nie wierzę!

– To był lis! – powiedziała Portia, gdy Jeżyna wróciła do salonu.

– Powiedzmy – mruknęła ciotka. Jej wzrok powędrował ku zamkniętym drzwiom tuż obok jednego z regałów z książkami. Marlowe do niej przydreptał, a ona pokręciła głową i podrapała go za uszami. – Przestraszyłeś się, co?

– Co się tu wyprawia? – zapytała Róża, która właśnie weszła do salonu z serwisem do herbaty na tacy.



– Lis! – krzyknęła Portia. – Tutaj, w salonie! – To niesamowite! Jeszcze nigdy nie widziała lisa z tak bliska. – Często się to tutaj zdarza?

Z każdą minutą dom ciotek wydawał jej się coraz ciekawszy.

Wizyta lisa najwyraźniej nie spodobała się i Róży. Rzuciła swej przyjaciółce zaniepokojone spojrzenie, ale ta tylko zacisnęła usta.

– Witamy na wsi – powiedziała krótko Jeżyna.

Potem dała Marlowe'owi lekkiego kuksańca i przejęła tacy od Róży.

Kiedy zapadł wieczór, Portia nie potrafiła zdecydować, która część domu podoba jej się najbardziej. Przez dłuższą chwilę był remis między kuchnią, ogrodem zimowym i salonem. Ostatecznie jednak wybrała własny pokój.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebować, jesteśmy na drugim końcu korytarza – powiedziała Róża, gdy nadszedł czas, by położyć się spać. Potem objęła Portię ramieniem. – Bardzo się cieszymy, że tu z nami jesteś.

– Ja też się cieszę – odparła Portia.

Ciotki przyjęły ją tak serdecznie, że już teraz rozumiała, dlaczego jej mama najbardziej lubiła spędzać wakacje w Afallon.

– Śpij dobrze – pożegnała się Róża.

– I nie wpuszczaj psa do pokoju! – zagrzmiała Jeżyna z końca korytarza.

Róża przewróciła oczami, ale mimo to się uśmiechnęła.

– Dobranoc – powiedziała, a dziewczynka odwzajemniła życzenie.

Potem Róża zamknęła drzwi, a Portia mogła wreszcie rozejrzeć się po swojej sypialni.

Pokój nie był duży, ale bardzo przytulny. Stały w nim lampka do czytania w kształcie dzwonka i biała drewniana komoda. Pokój znajdował się z tyłu domu i Portia była pewna, że z okna widać rzekę.

Włączyła lampkę i otworzyła walizkę. Na wierzchu leżała jej piżama. Sięgnęła po nią – i zastygła. Pod nią leżało ulubione ponczo Gwendolyn.

Portia wpatrywała się w starannie złożony materiał. Nagle poczuła guł w gardle. Przypomniała sobie, kiedy jej mama miała na sobie to ponczo po raz ostatni.

To było tego ranka, gdy odwołała wspólne wakacje. Wtedy dziewczynka już od dwóch tygodni chodziła na palcach po mieszkaniu, żeby nie przeszkadzać mamie. Rano przygotowywała śniadanie, a po południu parzyła herbatę. Był to ich rytuał. Na ogół Gwen miała świetny nastrój i była pełna energii, ale czasem ogarniała ją fala smutku. Przy odrobinie szczęścia burza uczuć przechodziła po kilku dniach. Często jednak wisiała nad mamą całymi tygodniami. Tak było i tym razem.

W poniedziałek, dzień przed planowanym wyjazdem, Portia weszła do salonu. Gwen siedziała na parapecie w swoim ulubionym ponczo z fioletowej wełny. Córka usiadła obok i się do niej przytuliła. Właśnie wtedy dowiedziała się o zmianie planów. Gwen objęła córkę, która czuła na policzku dotyk ciepłej i miękkiej wełny.

– Andaluzja raczej nie wypali – przyznała mama.

Rozczarowanie paliło w gardle, ale Portia nie dała nic po sobie poznać.

– Nic nie szkodzi – powiedziała. – Pojedziemy za rok.

Mama ją przytuliła i pocałowała w czubek głowy.

– Moja dzielna dziewczynka.

Portia myślała, że udało jej się przekonać mamę, iż zmiana planów wcale jej nie przeszkadza. Ale najwyraźniej Gwen wyczuła jej rozczarowanie – i na pocieszenie spakowała jej ponczo.

*Ach, mamo...*, pomyślała Portia. Włożyła piżamę, a potem zarzuciła na ramiona ponczo. Wełna wciąż pachniała perfumami Gwendolyn. Dziewczynka wciągnęła zapach głęboko, wyobrażając sobie, co mama robi w tej chwili. Miała nadzieję, że czuje się już lepiej. Że pamięta, by zrobić sobie śniadanie. I że czasem wychodzi na świeże powietrze. Po raz kolejny zastanowiła się, czy nie powinna była zostać w Londynie. Ale dla Gwen ważne było to, by w trakcie wakacji córka dobrze się bawiła. Dziewczynka pogładziła ponczo z nadzieją, że mama nie będzie za nim zbyt tęsknić.

Westchnęła, zgasiła światło i wróciła do łóżka. Uklekła na materacu i spojrzała przez okno. W ogrodzie za domem było już za ciemno, by cokolwiek dostrzec. Nie widziała na niebie żadnych gwiazd – zasłaniały je chmury – a w oddali majaczył tylko zarys wierzb nad rzeką. Ale jedna rzecz wydała jej się dziwna.

Portia zmrużyła oczy. Nie, nie pomyliła się – tam, na trawniku, coś się poruszało. Nachyliła się. Lis przemknął przez smugę światła z okna i zniknął między krzewami. Dziewczynka zmarszczyła czoło. Co za uparty typ. Ciekawe, czy ma tu gdzieś norę?

Kiedy stopy zaczęły jej marznąć, wsunęła się pod kołdrę i wyjęła z plecaka książkę, którą zaczęła czytać w pociągu.

Puchowa kołdra zaszeleściła, gdy Portia – nadal w ponczo – wtuliła się w poduszkę.

Dziewczynka nie miała pojęcia, co ją obudziło. Wiedziała tylko, że siedziała wyprostowana na łóżku, choć za oknem wciąż panowały ciemności. Zmarszczyła czoło. Dziwne. Może coś jej się przyśniło?

Przetarła oczy dłonią. Skoro już się obudziła, mogła pójść do łazienki. Ta trzecia filiżanka herbaty to już chyba była przesada, ale wlewanie mleka do porcelanowych filiżanek, kropla po kropli, tak bardzo jej się podobało. Wyszła bosą na korytarz. Przesunęła dłonią po ścianie, lecz nie mogła znaleźć włącznika światła. Wciąż półprzytomna, ruszyła dalej, kiedy nagle z dołu dobiegł jakiś dźwięk. Zamarła. Znowu to samo – ciche skrzypnięcie drzwi.

Jej oczy przyzwyczyły się już do ciemności, więc mogła dostrzec kontury poręczy schodów. Ostrożnie się przybliżyła. Dźwięk dochodził z kuchni. Nasłuchiwała uważnie, lecz w całym domu panowała cisza. Już miała uznać, że to pewnie Marlowe nie śpi, gdy przy stopniach przemknął jakiś cień. Lis!

Portia natychmiast oprzytomniała. Przez moment zastanawiała się, czy nie obudzić cioci, ale ciekawość wzięła górę. Na palcach zeszła po schodach. Kiedy znalazła się na dole, usłyszała odgłosy z salonu: najpierw szuranie, potem łoskot spadającej książki. Co, do licha, ten lis tam wyprawiał?

Podkraśla się do uchylonych drzwi salonu i zajrzała do środka przez szparę. Przez okna po drugiej stronie pokoju wpadała niebieskawa poświata, ale mimo to Portia niewiele

widziała. Dostrzegała tylko ciemne zarysy foteli, wyłaniające się z mroku niczym czarne garby. Dźwięki dochodziły z sąsiedniego pomieszczenia, do którego jeszcze nie zaglądała. Przeszła po grubych dywanach i delikatnie pchnęła drzwi obok regału z książkami.

Coś zaszeleściło. Na dużym, masywnym biurku poruszył się zgarbiony cień z puszystym ogonem.

Portia zmrużyła oczy, by lepiej widzieć, gdy nagle w salonie za jej plecami pojawiły się psie łapy. Marlowe głośno zaszczekał. Zanim zdążyła zaczerpnąć tchu, ktoś wyciągnął rękę ponad jej ramieniem i zapalił światło. Ze strachu serce dziewczynki niemal przestało bić – ale to, co stało się z lisem, było jeszcze bardziej zdumiewające. Zwierzę znieruchomiało w okamgnieniu, a jego ogon napuszył się jak szczotka do butelek. Lis stał pośrodku biurka, otoczony bałaganem zmiętych papierów i pootwieranych szuflad.

– No nie, tego to już za wiele – warknęła Jeżyna, która nagle wyrosła spod ziemi. Przepchnęła się obok Portii i wpadła do gabinetu niczym koń bojowy. Lis przywarł do blatu, położył uszy po sobie i syknął, lecz ciotka nie dała się zastraszyć. Już prawie miała intruza w garści, ale ten był zbyt szybki – w ostatniej chwili zeskoczył z biurka, przemknął pod jej ręką i wypadł z pokoju, jakby gonił go sam diabeł.

Jeżyna zakłęła. Na zewnątrz rozległ się krzyk przerażenia, po czym także w salonie zapaliło się światło.

Przy włączniku stała Róża, zawiązująca pasek szlafroka.

– Co się tu, na miłość boską, wyprawia?

Lis... chciała powiedzieć Portia, ale Jeżyna była szybsza.

– *Hen grwydriad coch* – złorzeczyła po walijsku.

Portia nic z tego nie zrozumiała, ale Róża uniosła brwi w zdumieniu.

– A czego on tu szukał? – spytała zaskoczona.

– Jak zwykle przyszedł kraść – prychnęła ciotka. – Ten łotr jeszcze przyprawi mnie o zawał.

– Jeżyno – powiedziała Róża, lecz tamta nie dała się uciszyć.

– Mam tego dość. Jeśli znów się tu pokaże, wejdę na strych po strzelbę. Albo nie, wiesz co, od razu daj mi telefon.

– A do kogo chcesz dzwonić?

– Do leśniczego, do myśliwego, wszystko jedno – burknęła Jeżyna.

Marlowe otarł się o jej nogę, a Róża pogłaskała go uspokajająco po grzbiecie, aż zamknął oczy i sapnął cicho.

– Jestem za stara na takie głupoty – mruknięła Jeżyna i zaczęła sprzątać bałagan na biurku.

Róża spojrzała na zegarek.

– Zaparzę herbaty – powiedziała. – Za pół godziny wzdzie słońce, a o spaniu i tak możemy zapomnieć.

– Jak ten lis w ogóle się tu dostał? – zdziwiła się Portia.

– Pewnie zapomniałam zamknąć drzwi do kuchni – odparła Róża lekko.

Dziewczynka zmarszczyła czoło. Doskonale pamiętała, że ciocia zamknęła te drzwi. I teraz, gdy o tym myślała, nabrała pewności, że drzwi do gabinetu również były zamknięte. Czy lisy potrafią naciskać klamki?

Róża ruszyła do kuchni, ale Portia jeszcze przez chwilę została na miejscu. Działo się tu coś dziwnego i bardzo chciała zapytać Jeżynę, o co chodzi. Lecz gdy się odwróciła, zobaczyła,

jak ciotka przesuwa palcami po krawędzi biurka. Dziewczynka patrzyła w zdumieniu, jak krawędź mebla ustępuje pod dotykiem, a spod blatu wysuwa się ukryta szuflada. Jeżyna wyjęła z niej coś błyszczącego, przez krótką chwilę w jej palcach mignęło srebrne światło. Następnie odetchnęła z ulgą i odłożyła przedmiot.

*Dziwne, bardzo dziwne*, pomyślała Portia i bezgłośnie się wymknęła, zanim ciotka zdążyła zamknąć tajną szufladę. Przedtem jednak zapamiętała dokładnie, które miejsce trzeba nacisnąć, by otworzyć skrytkę.